**Nr. 13.** Lwów, 24. Grudnia 1899. **Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIII.**

Numer pojedyńczy **20 ct.** z dodatkami.

# Tygodnik Narodowy

wychodzi na każdą niedzielę.

Ogłoszenia po 8 ct. od wiersza petitowego
Reklamy po 20 ct. 30 ct. i 50 ct. od wiersza.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *8 zł.*, półrocznie *4 zł.*, kwartalnie *2 zł.*, miesięcznie *70 ct.* W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie.* Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniczne. — Prenumeratorowie ***roczni*** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

*Redakcja i Administracja* ***Tygodnika Narodowego*** *we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

**Tygodnik Narodowy** znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

## *Od Wydawnictwa.*

*„Tygodnik Narodowy“ w roku 1900 wychodzić będzie w tym samym zakresie i pod tą samą redakcją, dokładając wszelkich starań, aby pismo nasze pod względem literackim łączyło przyjemne z pożytecznem, a pod względem tendencji było na wskróś narodowe, polskie. Prosimy uprzejmie o rychłe i wczesne odnowienie prenumeraty.*

*Tych panów prenumeratorów, którzy zalegają za ostatni kwartał i otrzymali trzynaście numerów „Tygodnika Narodowego“ prosimy o odesłanie zaległej należytości i o niezmuszanie administracji do upominania się osobnemi kartami korespondencyjnemi. Sądzimy też, że pismo polskie, zwłaszcza w naszych narodowych warunkach, zasługuje na obywatelskie poparcie, a nie na wyrządzanie mu szkody.*

## Bezpłatna premja!

Dotychczasowi prenumeratorowie, którzy nadeślą wprost do Administracji prenumeratę *półroczną*: **4 zł.** na »Tygodnik Narodowy« otrzymają natychmiast obszerny, illustrowany, z wszechstronnym działem informacyjnym: **Kalendarz** na rok 1900 p. t. **Lwowianka** *bezpłatnie i franco.* Prenumeratę najdogodniej przesełać przekazem pocztowym do: *Administracji „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie,* ulica Kraszewskiego 23.

## Kiedy rozpocznie się XX. wiek?

Już dwa lata prawie, prasa całego świata rozprawia szeroko nad tem, kiedy właściwie rozpoczyna się następne stulecie — w 1900 r., czy też 1901 r. Złamano wiele piór, zepsuto mnóstwo atramentu i drukarskiej farby, wielu łamało sobie nad tem głowy, nie wyłączając nawet najtęższych uczonych, a jeszcze nie zdołano przekonać tych, którzy zapominają, że 9 to nie 10, a 99 to nie 100.

Spory togo rodzaju powstawały zresztą w w latach 1599, 1699 i w 1799.

W r. 1699 uczony jakiś spór taki wybrał sobie za temat do ogromnej rozprawy, która znowu ze swej strony powołała do życia cztery nowe broszury, poświęcone spornej kwestji. W r. 1800 grano nawet na paryskiej scenie sztukę pod tytułem: »Mój Boże, w którymże wieku żyjemy?«

»A mimo to, ta ważna kwestja nie jest wcale trudna do rozwiązania« — powiada znakomity astronom Kamil Flamarion w rozprawie swej, poświęconej tej właśnie kwestji.

Dziesiątka składa się z dziesięciu jednostek. Liczba dziesięć wchodzi w skład dziesiątki.

Setka składa się ze stu jednostek, przyczem sto wchodzi w skład setki.

W erze chrześcijańskiej nie było roku 0. Pierwszy rok tej ery był 1.

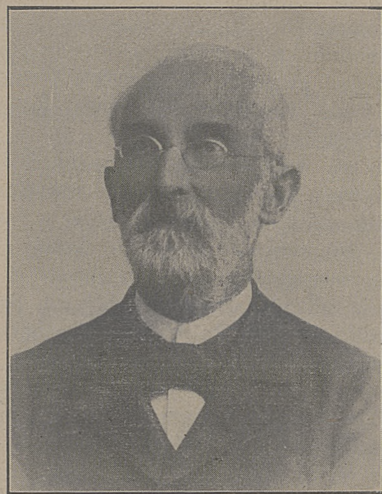
Z tego wynika, że wiek dwudziesty nie zacznie się w 1900, ale w 1901 r.

W roku urodzenia Chrystusa nikt z ludzi nie mógł przewidzieć tego znaczenia, które zdobędzie urodzony. Rok ten przeszedł niepostrzeżenie, tak dla rzymian, jak i dla żydów. Ale i następne lata, a nawet wieki: pierwszy, drugi, trzeci i czwarty, nie znalazły miejsca w kalendarzu. Dopiero, bowiem, w roku 532 zaproponował erę chrześcijańską pewien zakonnik, rodem ze Scytji, którego dla małego wzrostu nazywano »Małym Dyonizym“ (Dyonisius Exignus). Zakonnik ten utrzymywał, że Chrystus urodził się 25 grudnia 753 r. od założenia Rzymu, tak, że rok 754 ery rzymskiej, stał się pierwszym ery chrześcijańskiej.

Potrzeba tu dodać, że i po Djonizie era chrześcijańska nie zaczyna się w dniu urodzenia Chrystusa, ale o siedm dni później. Oprócz tego, zakonnik ten omylił się o całe cztery lata. Według ściśle naukowych badań, można napewne twierdzić, że urodzenie Chrystusa przypada na rok 749, a nie 753 od założenia Rzymu. W ten więc sposób, cała era jest młodsza o cztery lata. Mimo tego, że błąd ten znano już przed kilkuset laty (jest o nim mowa już w owej rozprawie z XVII. w.), poprawki nikt nie przeprowadził, a era pozostała taka, jak ją zaproponował Djonizy Mały.

W obec tych danych, nie trudno zrozumieć, że rok 1900 jest ostatnim w XIX. wieku, a nie pierwszym XX.

Jeżeli zaś w codziennem życiu rok setny uważa się zwykle za pierwszy następnego wieku, to dzieje się dla tego, ponieważ w błąd nas wprowadza przemiana dwóch pierwszych cyfr roku, np. z 1799 przechodzimy nagle do 1800 i 1899 do 1900, co jednak nie razi nas zupełnie przy liczeniu systemu dziesiątkowym,



Adolf Kuhn,

Architekt i budowniczy we Lwowie, obchodzący w dniu 16. grudnia 1899 r. pięćdziesięcioletni jubileusz zawodowej pracy.

(Bliższe szczegóły o tym jubileuszu umieścimy w jednym z najbliższych numerów).

w którym liczby 10, 100 itd. należą do dziesiątek, setek, itd.

I tak to — kończy sławny astronom — 31-go grudnia 1900 r. punkt o północy, bieżące stulecie zniknie w bezdennej przepaści wieczności, ażeby ustąpić miejsca nowemu wiekowi dwudziestemu.

Któryż kraj pierwszy powita zbliżający się wiek młody?

Jeżeli liczyć będziemy ten czas w kierunku z Paryża ku wschodowi, to spostrzeżemy, że w chwili, kiedy zegary paryskie wybiją północ z 31-go grudnia 1900 na 1-go stycznia 1901 r., w środkowej Europie będzie się już liczyła godzina 1 nowego wieku, w Sueskim kanale 2 godziny, w Teheranie 3 godziny, w Bucharze i Tobolsku 4 godziny, w Kolombo 5 godzin, w Kalkucie 6 godzin, a w Chathamie będzie już południe 2 stycznia roku 1902.

Jeżeli znów przeciwnie, wyjdziemy z Paryża ku zachodowi, to w tej chwili epokowej dla Paryża, będzie w Nowym Jorku dopiero 7 godzina 31 grudnia 1900 r., 6 godzina w Chicago, 3 godzina w Meksyku, 4 godzina w San Francisco, 2 godzina w Alasce, 1 godzina w Honolulu i południe (31 grudnia) w Chathamie. W ten więc sposób, stanęlibyśmy przed dziwnym na pozór dylematem. Na Chathamie

w tej samej chwili będzie południe 31. grudnia 1900 roku i południe dnia 2 stycznia 1901 r.

Aby ten dylemat wyjaśnić, potrzeba się cofnąć aż do czasu, w którym to narody, nie znając się wzajemnie, układały swe kalendarze według swych pojęć. Z biegiem czasu rozwinęła się jednak żegluga, a żeglarze zaczęli objeżdżać ziemię, w skutek czego potrzeba jakiegoś stałego ograniczenia dni, stała się piękącą. Portugalczycy i holendrzy objeżdżali naszą planetę w kierunku z zachodu na wschód, podczas kiedy hiszpanie czynili to samo w wprost przeciwnym kierunku: przez cieśninę Magellana. Na pokładzie każdego statku, każdy naród zachowywał swój sposób liczenia czasu, skutkiem czego mieszkańcy wyspy Formozy, należącej wówczas do holendrów, mieli poniedziałek wówczas, kiedy na pobliskich, ale przez hiszpanów odkrytych wyspach Marjańskich, dzwoniono na niedzielną sumę.

Wyspa Chatham, znajdująca się najbliżej antypodów Paryża, ma południe wczorajsze, lub jutrzejsze, ze względu na północ danego dnia w Paryżu. Majtkowie dodają tu, lub odejmują jeden dzień, a pensję otrzymują za jeden dzień więcej, albo mniej.

W praktyce linja demarkacyjna na 180 stopni południka paryskiego, greenwichskiego, lub innego, przecina Kamczatkę i zachodnie krainy wysp Karolińskich, Nową Zelandję i wyspę Chatham.

W ten więc sposób, pierwszymi, którzy powitają wiek XX. będą rosjanie na Kamczatce, japończycy w Tokio, hiszpanie i amerykanie na Filipinach, anglicy w Nowej Zelandji i na wyspie Chathama, francuzi w Nowej Kaledonji, tudzież mieszkańcy Nowej Gwinei i wysp Salameńskich. Na wyspie Chathamie nowy wiek nastąpi najprędzej, bo wówczas, kiedy paryżanie witać będą nowego przybysza, to mieszkańcy tej zapomnianej wśród oceanu ludzkiej siedziby, będą już mieli 12 godz. i 4 min. drugiego wieku.

Ale niestety! Nadchodzący wiek będzie już ostatni dla biednych mieszkańców tej malutkiej wysepki.

Przed stu laty było ich tam przeszło 2000. W roku 1030 było już tylko 1500, w pięć lat potem odwiedzili ich maorowie, mieszkańcy sąsiedniej Nowej Zelandji i znalazłszy ich mięso bardzo pożywnem i smacznem, zaczęli ich piec i gotować na wielką skalę. W roku 1870 nie było ich już więcej, jak 200, a teraz żyje ich wszystkiego około 50 osób.

Azjaci powitają nowy wiek prędzej, niż europejczycy, a ci ostatni prędzej, niż amerykanie.

Powinniśmy sobie życzyć -- kończy swą rozprawę Kamil Flamarion — aby nowa era przyniosła nam spokój stały i ażeby powszechne umoralnienie postąpiło o krok naprzód w rozwoju ludzkości.

---

# Przebojem.

Powieść amerykańska

L. Lesława.

(Ciąg dalszy. Patrz nr. 12.)

— Mister mówisz z cudzoziemska, nie jesteś amerykaninem?

— Ach, przepraszam panie, żem się dotychczas roztargniony nie przedstawił: jestem polakiem od pięciu lat w Ameryce — nazwisko moje Piotr Wakowski.

Staruszka popatrzyła się dziwnie, usłyszawszy to nazwisko, cofnęła się i zachwiała — gdyby nie córka chwytająca ją w ramiona — byłaby upadła.

— Co mamie jest? — spytała Olga przelękniona.

— Nic moje dziecko — odpowiedziała staruszka — chwilowy zawrót głowy, — a zwracając się do Piotra spytała:

— Kim był pański ojciec?

— Królewskim inżynierem na Multanach, zmarł w Galicji — odpowiedział Piotr.

Odetchnęła staruszka — wzrok jej stał się przyjaźniejszym.

— Czy zostawił ojciec pański majątek? — pytała dalej staruszka.

— Żadnego, dorobiłem się go własną pracą, a przedewszystkiem wynalazkiem sztucznych marjonetek.

— Pański to wynalazek? Słyszałyśmy o nim. Wiele mister zdziałałeś.

— Zawdzięczam to bluzie roboczej słowom mego ojca, że praca nie hańbi Dziękuję paniom jeszcze raz za gościnę — nie będę jej nadużywał — za kilka dni będę już mógł być w drodze.

— Nie spiesz się mister — odpowiedziała staruszka — gościmy cię chętnie; żyłyśmy cicho — dopiero od jakiegoś czasu bywają u nas goście. Mąż mój umarł przed kilku laty, od tego czasu gospodaruję sama, ucząc moją córkę — uczy się Olga jednak więcej sama, bo czyta bardzo gorliwie.

— Co pani czyta, miss Olgo? — zagadnął panienkę Piotr.

— Historję, sir, to mój ulubiony przedmiot; jeografię, historję naturalną, literaturę, a oprócz tego rysuję — maluję, uczę się języków.

Rozmawiając z Olgą, przekonał się Piotr, że serce i umysł miała rozwinięte — brakło jej doświadczenia i krytycznego poglądu — rozmawiała rozsądnie — ale naiwnie. Poznał, że nie jest materjalizmem amerykańskim przesiąkniętą — była to dopiero wiosna, która niedawno dnie podlotków pożegnała.

— Miło mi, miss Olgo, w tym obcym dla mnie kraju, z wiedzą o moim świecie się spotkać — Czy miss Marta jest siostrą pani?

— Nie sir, nie mam, ani siostry, ani brata, jest to przyjaciółka z sąsiedniej farmy — odpowiedziała Olga.

Nadjechali Stenbek i Greenhill, weszli ze swobodą jankiesowską — która jednak w obec pań zmieniła się w uszanowanie.

Nastąpiły przedstawienia, wypadek ze strzałem został opowiedziany.

— Szczęśliwym jesteś, mister — powiedział Stenbek, przystojny mężczyzna o smagłej twarzy — bylibyśmy chętnie na miejscu pana, ażeby pomoc z tak pięknych rąk otrzymać.

— Pozwólcie sobie panowie! — odparł Piotr.

— Szczęście nie przychodzi na zawołanie — odpowiedział Stenbek — często jednak jest się szczęśliwym, nie będąc bliskim szczęścia — zostaje nam ułuda, w pobliżu światła tracimy na wartości...

---

# Kronika niedzielna.

## Gwiazdka.

W przeddzień Bożego Narodzenia, narody chrześcjańskie, każdy na szerokiej podstawie swych wierzeń, etyki i ideałów, otacza promienną radością ten dzień, który ludziom przynosi pokój, braterstwo, przebaczenie — miłość.

U nas w Polsce, mówią: »Bóg się rodzi, moc truchleje«... Święta prawda nad prawdami!... Przepiękne podanie opowiada od wieków lud francuski o dniu wigilijnym. Dzieciątko Jezus, w otoczeniu aniołków w tę noc unosi się nad domami, niosąc podarki dla dziatwy. Na tej legendzie opiera się tradycyjny zwyczaj we Francji ustawiania w dniu tym, w pobliżu kominka, trzewiczków, w których dzieci po przebudzeniu się, znajdują podarki i łakocie. Alfons Daudet z tej legendy wykrzesał śliczny obrazek, jeden z jego ostatnich utworów p. t. »Noc wigilijna«.

»Ach, jak błyszczały tej nocy dachy domów paryskich! Jaka cisza, jaki spokój, jaka tu jasność dokoła!«... pisze w tym utworze Daudet.

»Pomimo dość wczesnej godziny, wszystkie ogniska były już pogaszone — nigdzie najlżejszej smugi dymu... Te, jednak, szczęśliwe kominy, w których pali się codziennie, łatwo rozpoznać po utworzonej przez dym ciasnej obwódce i po ciepłem ich tchnieniu, płynącem w mroźne powietrze, niby oddech uśpionego domu«.

»Na innych dymnikach, kostniejących od zimna i przywalonych gęstym śniegiem, pozostały jeszcze do ostatniej wiosny gniazdka ptasie, z których również uleciało ciepło i życie... W nadpowietrznem tem, białem mieście, przeciętem w różnych kierunkach ulicami Paryża, jakby olbrzymiemi szczelinami, rysowały się tylko sylwetki kominów nierównych, czarnych, jak drzewa wśród zimy i rzucających cień na puste drogi, nie uczęszczane przez nikogo, z wyjątkiem wróbli paryskich, które podczas harców swych podrapały tu i ówdzie gładką powłokę śniegową. Oto i teraz gromadka czupurnego maleństwa frunęła na rynnę i ćwierkaniem swem mąci głęboką ciszę i uroczyste oczekiwanie, w którem pogrąża się miasto dachów, pod olbrzymim kobiercem z białej lamy, rozpostartym na powitanie młodziutkiego Królewicza«.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

»Rój drobnych światełek zamigotał na całej śnieżnej powierzchni dachów. To Boskie Dzieciątko na czele aniołków przynosi gwiazdkę swym rówieśnikom i opuszcza ją przez wyloty kominów. Orszak nie pomija w swym pochodzie, ani wyniosłych pałaców z tarasami, ani nędznych domostw przytulonych do siebie, jakby w obawie runięcia pod ciężarem śniegu. Niebawem też na wszystkich dachach Paryża odezwały się grzechotki i cała ta fantastyczna muzyka, witająca nas w sklepie z zabawkami: beczenie owieczek, kwilenie lalek, chrzęst atłasu, trąbki, bębenki, kółka koni pocztowych, trzask bicza pocztarków i skrzydła wiatraczków. Wszystkie te przedmioty znikały w czeluściach kominowych. Tam gdzie nie było dzieci, Królewicz prowadzony przez swój orszak, przechodził szybko dalej, nie myląc się nigdy; kilkakrotnie jednak, gdy zbliżał się z pełną dłonią zabawek, czarne usta komina rzekły szeptam: »Tu nie trzeba, nie żyje... Niema już trzewiczków w tym domu... Zabierz swe zabawki mały mój Królewiczu. Matka rozpłakałaby się na ich widok«...

»Długo, długo, błądziły tej nocy drobne światełka. Nagle w głębi oparów mglistych zapiał ochrypły kogut, smuga białego dnia otwarła naoścież sklepienie nieba i w jednej chwili prysło czarowne widziadło nocne. Święto dachów skończone; zaczęło się święto domów. J. ż też z kominów wraz z dymem roznieconych ognisk, wzbijała się coraz do-

— Światło rozprasza cienie...

— Nie poetyzuj pan — wtrąciła Marta — te poglądy przyswoiłeś sobie pan z romansów.

— Nie czytuję romansów.

— Cóż pan czytujesz?

— Dzieła praktyczne, a właściwie — nic nie czytam — na co mi to potrzebne — odpowiedział broniąc się Stenbek

— Co pan nazywasz dziełami praktycznemi? — spytała Marta.

— Rachunki, dające nam pogląd na naszą wartość.

— Idź pan, pan jesteś chodzącem wyrachowaniem.

— Tak, jak i pani!

— Nie dziś — to jutro — dodał Grenhill.

— Panie — prawiła Olga — zmieńmy temat — mówmy o czem innem.

— Dobrze — miss Olgo — stosuję się zawsze do twego życzenia.

Nie mniej przeto mówił wkrótce znów o tem samem — Olga obawiała się spotykania się z nim.

— Olgo! — mówiła Marta — ty się kochasz w Piotrze.

— Co się wam stało, iż mi tak dokuczacie?

— W obec niego — płoniesz zachwytem — dla nas jesteś zwykłą, dobrą dziewczyną.

— Bo Piotr inaczej wygląda, niż otoczenie — tłumaczyła się Olga.

— Ej — pilnuj swego serduszka — prawiła Marta, bo ci je Piotr zabierze.

— Nie obawiam się o to wcale.

Nazajutrz miał już Piotr wyruszyć w drogę. Marta zaproponowała konną wycieczkę — wszyscy na to przystali. — Był w stajni wspaniały — ognisty rumak, znarowiony jednak i nie dobry; nikt go dosiąść nie potrafił, bo wierzgał, kąsał, rzucał się, jak szczupak. Trzymano go w stajni, jako pamiątkę po Arvayu, służba stajenna miała z nim utrapienie.

Mówili jankiesy: Nikt się nie znajdzie — ktoby był w stanie dosiąść tego konia — prosili Piotra, żeby spróbował.

— Nie siadaj pan na tego konia — rzekła Olga.

— Spróbuj pan, pokaż, czy polacy jeżdżą tak jak nasi jankiesi.

Tylko jeden służący mógł do tego konia przystąpić — przystąpił Piotr, koń stulił uszy, wyciągnął łeb do ukąszenia — otrzymawszy jednak od Piotra uderzenie po nozdrzach, wnet podniósł uszy, zaczął jednak skakać i rzucać się. Wyprowadzono go ze stajni. Piotr mocując się z koniem, przymusił go do klęknięcia na przednie nogi — wskoczył mu później na grzbiet — bez siodła — ponieważ siodłać się nie pozwolił; koń chrapał, wspinał się i wierzgał, Piotr siedział atoli na nim, jak przykuty, zdawało się, że zrośli się obaj; ostrogi, a przedewtzystkiem silne objęcie i silna dłoń, zmusiły rumaka do posłuszeństwa; wyjechał na nim za bramę, za powrotem tworzył koń w unoszącej się parze — jeden obłok mglisty — był mokrym i spienionym, dał się atoli teraz powodować i z łatwością osiodłać.

Jankiesy nie mogli ukryć niechęci, gniewała się Olga — że jej Piotr nie posłuchał, tylko Marta była zadowoloną — a wzrok jej płonął stalowym połyskiem. Była sama znakomitą, zuchwałą jezdczynią, przyjaciółką szalonej jazdy; Piotr z nią poszedł w zawody, wkrótce odsadzili się od towarzystwa. Przypatrzył się Piotr Marcie — na twarzy jej marmurowej, okraszonej rumieńcem, a w oczach pełnych ognia i w całej postaci, widać było rozkoszne zadowolenie. Odmieniła się w oczach Piotra, była — jak nie ta sama, cała jej postać tryskała siłą i potęgą. Rumak Piotra szedł spokojnie, kłus i cwał miał wydatny i łagodny, brał wszystkie przeszkody, poznał Piotr, że był znakomicie tresowany, nie znalazłszy jednak mistrza — znarowiał. — Jechali przez pola — na przełaj — wjechali w leśną drożynę, konie szły stępo.

Oglądał się Piotr za towarzystwem — nie było widać, zakrawało takie oddalenie się na niegrzeczność — prosił więc Martę — żeby zaczekać, aż zdążą.

Marcie jednak, ani na myśli to nie było i owszem, była rada temu, że z Piotrem sama jechała. Chłód przyjemny, cień i łagodny szum lasu usposobiały ją romantycznie. Piotr wyglądał junacko — wiedziała o tem również, że ma dar wrodzony, aby stać się kiedyś bogatym — a może — ulegając tylko chwili, w której nawet tak wyrachowane — jak ona — stają się kobietami i w młodzieńcu drugą połową świata widzą — czuła się, ku Piotrowi pociągniętą, zwłaszcza, że on, odznaczając się mężkością i pozornym chłodem, zdawał się nie dawać tak łatwo powodować kobiecie. Zajęła się nim od tego czasu — kiedy mu krwią zbroczonemu pomoc przyniosła — od tego czasu próbowała zbliżenia się, co jej się jednak nieudawało, ponieważ Piotr półsłówek nie rozumiał; może być, że tylko chciała wpływu swego spróbować, to też odpowiedziała:

— Czy ci źle ze mną samą jechać — mister? —

— Tego nie powiedziałem, miss Marto — odpowiedział Piotr, — zwróciłem tylko uwagę, ażeby uniknąć nie potrzebnych komentarzy.

— Czy panu na tem zależy?

— Zależy mi również, lecz bardziej w interesie pani.

— My wolne amerykanki nie podlegamy takim prawom, jak panie — w starym świecie.

— Jedźmy więc dalej — rzekł Piotr. Jechali kłusem.

— Mister — zagadnęła go znowu Marta, podoba ci się dzisiejsza jazda?

— I owszem — miss Marto!

— Jechała bym tak — na koniec świata.

— Z panem Stenbekiem? — spytał Piotr?

— Nie myślałam o nim — wcale — odparła Marta.

Piotr milczał.

— Mister — nie odjeżdżaj jutro — odwiedź mnie w mojej farmie, będę za kilka dni u siebie.

— To nie możliwe, miss Marto!

— Dlaczego?

— Bo jutro odjeżdżam — i to nieodzownie.

Spostrzegł Piotr gniewny połysk w oczach Marty — który jednak nawet nie trwał mgnienia oka; tylko spicruta drżała w jej ręce nerwowo, a uzdeczka szarpała konia,

---

niosłej miła, ochocza wrzawa. Były to okrzyki radości i zachwytu, wybuchy śmiechu, klaskanie rąk, głosy dzieci sławiących z kolei Boskiego Królewicza. Na pustych dachach tymczasem wschodzące słońce, piękne różowe słońce zimowe, kładło pierwsze swe promienie, które mieniąc się na zaiskrzonym śniegu, pozwalały sądzić, że to z koszyczka małego Króla spadły wszystkie te perełki«...

Tak jest w dzień wigilijny we Francji, w progach tego narodu, który nam był po uczuciach, po sercu, po przekonaniach najbliższym wśród ludów bratem... Nie odwdzięczył się za naszą krew przelaną dla jego sztandarów, nie stanął nigdy przy naszych sztandarach, choć je z daleka zawsze błogosławił — a dziś mimo to, nie złorzeczymy mu i łamiemy się z nim naszym polskim opłatkiem, ogrzewając się słońcem wielkich tradycyj zachodniej cywilizacji...

. . . . . . . . . . . . . .

U nas w Polsce nie noc przegradzająca ranek, dzielący ją od Bożego Narodzenia, lecz kulminacyjną chwilą jest »Gwiazdka«, na srebrzystych promieniach której zjeżdża Święty Królewicz i przynosi z sobą miłość dla ludzi dobrej woli i przebaczenie dla złych... Ale tych złych, koło nas, przed nami, nad nami, pod nami taka masa, że przebaczenia ludzkiego dla nich nie wystarczy, trzeba go chyba szukać w miłosierdziu boskiem, a i tam lśkniące oczy od zaschniętych łez i bijące z bólu serca, odwracają się...

. . . . . . . . . . . . . .

»Gwiazdka« dziś nad polską ziemią nie wznosi się zakrwawiona, ale blada i drżąca... Nie przynosi nam nic i nie obiecuje nic... Utraciliśmy tak wiele, że te promyczki nadziei, płynące z niej na nas, zaledwie mogą wywołać... melancholiczny uśmiech zwątpienia..

Źle nam jest przez wiek cały z czubem, a jednak nie było, ani jednego roku, aby »Gwiazdka« nie przyniosła do serc polskich lepszych nadziei na przyszłość...

I dopóki »Gwiazdka« wschodzić i zachodzić będzie, dopóty wschodzić i zachodzić będą nasze nadzieje, aż się staną ciałem.. A jak się staną ciałem, to znowu »Gwiazdka« przyświecać będzie innym naszym nadziejom, bo pragnienie lepszego jest tak nieśmiertelne, jak ta co rok wschodząca i zachodząca »Gwiazdka«...

Radować się nie mamy z czego, dziękować nie mamy za co i nikomu, liczyć nie możemy na nikogo; pomocy dla naszej ciężkiej doli spodziewać się niepodobna nawet od tych, co szepczą nam do ucha słowa pociechy i zachęty...

A jednak?...

Jednak w duszy narodu czujemy nieśmiertelność tych ideałów, za które całe skrwawione i miażdżone pokolenia kładły się pod ich sztandarami trupem...

A jednak!...

Jednak żyjemy, choć nam ciągle mówią, żeśmy umarli...

A jednak!...

Jednak musimy i będziemy żyć, choć nam ferują wyroki na śmierć...

A jednak!...

Jednak jesteśmy i będziemy!...

I wśród błogosławionych promieni tej »Gwiazdki«, dzielimy się opłatkiem ze wszystkimi ludźmi dobrej woli, czy mówią tak, jak my, czy inaczej, byleby myśleli i czuli po bożemu... Nienawiść pożre się sama przez siebie, a ponieważ z nienawiści nic się nie rodzi, więc wierzymy w to, że przyjdzie nakoniec taka »Gwiazdka«, przy której zaśpiewamy kolendę:

»I na »Gwiazdce« przypłynęła
Ta, co nigdy nie zginęła!...
U Boga była w gościnie,
A tam nigdy nic nie ginie!«...

*Krzywdzic.*

czyniąc go niespokojnym; na twarz wystąpił rumieniec.

— Nie grzecznym jesteś, mister.

— Nie gniewaj się, miss Marto — prosił Piotr — z czasem jednak muszę się liczyć; — kiedy wrócę w te strony — odwiedzę panią w jej domu.

— Każdy ma tyle czasu — odparła Marta — ile mu potrzeba — tylko pan go nie masz.

— Zapewne nie mają takich zadań, gdzie się z czasem liczyć potrzeba.

— Tajemniczy jesteś, mister — czy mogę wiedzieć o tych obowiązkach?

— Nie dotyczą one pani — moje obowiązki rozciągają się na inne światy...

— Odjeżdżasz więc stanowczo? — spytała Marta.

— Stanowczo — pani — odparł Piotr — bo zwlekać nie mogę.

Wyjeżdżali z lasu. Okolica była Piotrowi znajomą.

Marta, otrzymawszy nie zadawalniającą odpowiedź, wywarła gniew swój na koniu — budząc ostrogą aż do krwi i szarpiąc. Koń nie przyzwyczajony do tego, ponieważ z szlachetnym i ulubionym wierzchowcem obchodziła się zwykle łagodnie — zaczął się trwożyć i skakać, a nie uspokojony, unosić. Marta nie tylko, że go nie wstrzymywała — puściła mu i owszem cugle — koń się rozszalał, goniąc na oślep. Ochłonęła Marta, widząc grożące niebezpieczeństwo — chciała go powstrzymać — próżne były jednak usiłowania. Nim się Piotr opamiętał, wyprzedziła go Marta o spory kawał — poznał, że ją koń unosi — puścił więc się za nią co koń wyskoczy.

Przybył w porę zagrodził Marcie drogę wstrzymując jej konia; — jeszcze chwila — a byłaby razem z koniem leżała w głębokim parowie.

Ochłonęła Marta — konie były spienione — musiała przebyć wielką trwogę — ponieważ w oku jej błysnął promyk wdzięczności — rzekła więc:

— Dziękuję — mister!

Gniew jej szalony zmienił się w rzewność, w oku błysnęła łezka ledwie widoczna — zdaje się, że może pierwszego w życiu marzenia żałowała — pierwszego — i ostatniego! — Zsiedli z koni, gdyż były zbyt zmęczone.

Piotr poklepał swego rumaka czule — przycisnął łeb jego do swojej twarzy i powiedział:

— Dzielny jesteś, Beju!

Oprócz Marty, w której chwilowa nieokiełzana namiętność zmieniła się po przebytem niebezpieczeństwie w wdzięczność i życzliwość dla Piotra, nie był nikt z niego zadowolonym: jankiesy, że ich jazdą konną pokonał, Stenbek, że tak długo był z Martą, Olga, że ją odjechał i prośby jej nie usłuchał.

Powiedziała sobie Olga:

Co mi może na tem zależyć, że się Piotr z Martą oddalił, było to jej jednak nieprzyjemnem — miała dlatego zadąsaną minkę, a ponieważ małomowność udzieliła się towarzystwu — nic nie było z dalszej przejażdżki; wracali do domu. Greenhillowi powiedziała Olga, że ją zanudza — to też przyłączył on się ze Stenbekiem do Marty, Piotr i Olga jechali razem.

— Żałuję tylko — mówił Piotr — że odjeżdżając, zaciągniętego długu wdzięczności spłacić pani nie mogę.

— Czy panu ten dług tak cięży — panie Piotrze? — spytało dziewczę.

— Pani — mówił Piotr — w mojem życiu nie zostałem jeszcze nikomu nic winnym — muszę się dlatego z niezapłaconym długiem oswoić.

— Wszak pan nieodjeżdżasz na zawsze?

— Nie wiem — miss Olgo — życie nasze i przyszłe wypadki nie od nas zależą — może na długo — może na zawsze. Chcę naprzód kopalnie nafty otworzyć, a potem odszukać córkę mego stryja, moją krewniaczkę, nad którą mi umierający stryj opiekę przekazał. Jedynie, aby ją odszukać — w podróż się wybrałem.

— Czy myślisz pan o niej często? — spytała Olga.

— Zawsze — miss Olgo!

— Zazdroszczę jej i gniewam się na nią — bo pan nie będzież tęsknił za nami.

— Pani — jasnych dni nie zapomina się tak prędko.

— Jak pańskiej krewniaczce na imię? — spytała po chwili Olga.

— Irena — odpowiedział zagadnięty.

Zamyśliła się Olga, zdawało się jej — że to imię jakieś dawno przebrzmiałe dźwięki wspomnienia budziło w jej pamięci.

— W jakim będzie wieku? — pytała dalej.

Może w tym, jak pani — odpowiedział.

— Jak ją pan poznasz?

— Po imieniu i nazwisku!

Zamyśliła się Olga.

— Jak się nazywa?

— Tak jak pani — Arvajówna — odpowiedział Piotr.

— Może jest moją krewną?

— Niestety — nie jest nią, ponieważ ani matka pani — ani piastunka nic o tem nie wiedzą.

— Żałuję — że nie jestem na jej miejscu.

— Dlaczego miss Olgo?

— Ponieważ byś pan o mnie także trochę myślał.

Jechali obok siebie — droga była wązka — z drzewa wystercząła gałęź — pochyliła się Olga, ażeby ją ominąć i była chwilę tak blizko Piotra — jak ongi — kiedy go wspierała. (D. c. n.)

---

# Uprawa roślin lekarskich.

Jest odpowiednią szczególniej dla gospodarstw małych, wymaga bowiem wiele takich czynności, któreby się nie dały wykonać tak łatwo w gospodarstwach wielkich.

Uprawa roślin lekarskich może być bardzo korzystną, ale musi być prowadzona z dokładną znajomością. Główną rzeczą jest wybór takich roślin, które by się w danej okolicy dobrze udawały, a przytem w aptekach sąsiednich najbardziej były poszukiwane. W wielu okolicach innych krajów, uprawiają bardzo dużo tych roślin i sprzedają je nietylko do aptek najbliższych, ale wysełają kolejami, lub okrętami w dalekie strony.

Różne rośliny lekarskie lubią różne grunta; jedne udają się dobrze na żyznych ziemiach, gdy inne tylko na jałowych i takie tracą na gruncie żyznym cenne swoje własności lecznicze. Wiele z tych ostatnich roślin udaje się przeto na nieużytkach, jak wydmy piaszczyste, szutrowiska, strome ubocze, bagna i t. p. Mają też one różne wymagania co do ciepła, wilgoci, światła i t. p. warunków życia rośliny, to też właściwości te różnych roślin lekarskich należy wpierw dobrze poznać, ażeby nieodpowiednim wyborem roślin, nie narazić się później na straty w ilości, lub jakości plonów.

Uprawa różnych roślin lekarskich, jest do siebie we wielu szczegółach bardzo podobną, dlatego w niniejszym artykule podamy najpierw ogólny opis uprawy tych roślin, a potem zapoznamy się z właściwościami szczególnemi tychże.

Rośliny lekarskie dzielimy na roczne, dwuletnie, lub trwałe. Uprawa pierwszych i drugich nie przedstawia w ogólności znacznych różnic, gdy u trzecich jest pod niektórymi względami odmienną. Przygotowanie ziemi pod pierwsze i drugie jest takie, jak zwykłego ogrodu, z tą tylko różnicą, że pod niektóre rośliny lekarskie nie używa się nawozu. Uprawa ziemi odbywa się zwykłym rydlem na małych obszarach, na większych pługiem, a polega na dokładnem skruszeniu ziemi i oczyszczeniu tejże z chwastów. Pod rośliny trwałe, a szczególniej krzewiaste, musi być ziemia głęboko przekopana, czyli zryglowana, nawet do dwóch stóp.

Ważną rzeczą przy uprawie tych roślin jest, by obszar, na którym je uprawiać zamierzamy, był zasłonięty od wiatru i kurzu, gdyż rośliny te nie mogą być myte po zbiorze, jeżeliby je kurz przysiadł.

Ze środków nawozowych, jeśli takowe są potrzebne, są najlepsze nawozy płynne, lub dobry kompost; nawozu stajennego, a zwłaszcza świeżego, nie używa się w ogólności pod te rośliny, bo i dużo nasienia chwastów zawiera taki nawóz i na wiele z tych roślin działa szkodliwie w inny jeszcze sposób.

Wysiew nasienia odbywa się szerokorzutnie, lub rzędowo; siew rzędowy jest w każdym razie lepszy, bo dozwala wyplewić rośliny zeszłe i okopać je, a to przyczynia się niemało do ich rozwoju. Z roślin trwałych muszą być te, których korzonki służą jako lekarstwo, co roku hodowane z nasienia, albo za pomocą wysadków, zaś te, których listki, łodygi, lub nasienie dają główny użytek, pozostają dłuższy czas na swem miejscu i wymagają tylko czystego utrzymania ziemi i rozpulchnienia tejże od czasu do czasu.

Czas wysiewu nasienia u roślin rocznych przypada najczęściej z wiosną, już w marcu, u niektórych w lecie jako poplon, u niektórych aż w jesieni, począwszy od sierpnia. Dwuletnie i trwałe wysiewają się od maja do października. Zbiór odbywa się w różnych porach, zależnie od tego, które części rośliny dają główny użytek, czy liście, kwiaty, nasienie, korzonki i t. d.

Suszenie liści, kwiatów i t. d. powinno się odbywać w cieniu na dworze, lub w odpowiednich suszarniach, przewiewnych, lecz nieopalnych. Tylko wyjątkowo można je suszyć przy pomocy sztucznego ciepła, lecz bardzo ostrożnie, ażeby zwłaszcza delikatne listki gałązkowe, lub kwiatowe nie stały się zbyt kruchemi i żeby nie straciły zawartych w nich części leczniczych pod wpływem zbytniego gorąca. W podobny sposób odbywa się suszenie korzonków, a najlepiej na sznurkach, na które się te korzonki nawleka. Suszenie łodyg całych uskutecznia się w snopkach małych, wolno uwiązanych.

Przy dłuższej uprawie roślin trwałych, pozostających na jednem miejscu, zaczyna się ukazywać coraz słabszy plon, wtedy przeto najlepiej będzie przenieść uprawę tychże roślin w inne miejsce, aniżeli za pomoca nawozów zmuszać ziemię sztucznie do wydawania plonów lepszych.

Do powyższych uwag należy jeszcze dodać tę ważną dla rolników radę, by w razie danym zaczynali od małych prób, przy których i straty nie mogą być wielkie, jeżeliby się próba nie powiodła. Dopiero po dokładnem obznajomieniu się z naturą tych roślin, przy pierwszej małej próbie, można uprawę tych roślin rozszerzyć, gdyby próba pierwsza zachęciła do tego i pod względem rachunkowym. *W. S.*

---

# WESOŁY KURJEREK.

## Dlaczego nigdy nie braknie?



— My kupujemy naprzód to, co buło, a jak niema tego, co buło, to kupujemy to, co jest, a jak niema tego, co jest, to kupujemy to, co będzie buło i przez to nam nie zabraknie, ani wtedy, kiedy buło, ani wtedy, kiedy jest, ani wtedy, kiedy będzie...

## Na Gwiazdkę.

I cóż Wam dać? — i cóż Wam dać?
Kochani i cierpliwi,
Tak nie na wiele nas jest stać,
Aż się człek gorzko krzywi.
I cóż Wam dać? — wszystkiego w bród,
Oprócz serdecznych życzeń,
W zamian za ciężki czytania trud
Humorystycznych ćwiczeń.
Oddam wam! — oddam! zacznijmy pieśń,
Boć damy nasze bóstwo!
Staropanieństwa niech zniknie pleśń,
Niech będzie mężów mnóstwo.
Niech zmilknie już tłumiony żal
Zaszytych w tiul aniołów,
Niech w porze zabaw, każdy bal
Przyniesie mężów połów.
A Was! — a Was! co pragnę wpleść
W hymenu giętkie koło,
Niech uszczęśliwi zacny teść,
Byle nie dłonią.....gołą.
Niech zawsze Wam, wśród cichych gniazd,
Szczebiocze tuzin dzieci,
Najpomyślniejszych miljard gwiazd,
Niech Wam przy pracy świeci....
I Tobie też szlachcicu mój,
Coś osiadł we Psiej Wólce,
Niech dochód płynie, tak jak zdrój,
I szczęście służy w pulce.....
Niech we drzwi Twe, na niski próg,
Nie wlezie nigdy bieda,
Ni egzekutor — co za dług,
Bilecik śle od żyda.
Artystom też, co z desek scen,
Trzymają sztuki czystość,
Niech troski się przemienią w sen,
A rozkosz w rzeczywistość.
Po piórze brat, nasz dzielny druh,
Zawzięty w każdą dobę,
Niech w zdrojach prawdy krzepi duch,
Nie cierpi na wątrobę. ...
I panom tym niesiemy dank,
Co służą sprawom zbytu,
Życzymy, by solidny bank
Otworzył drzwi kredytu....

* * *

Tak wobec wszem — kłaniamy się,
Wierszową kręcąc korbę
I oby nam nie było źle,
Niesiemy życzeń torbę.
Bo cóż Wam dać? — wszystkiego w bród,
Oprócz serdecznych życzeń,
Za całoroczny czytania trud
Humorystycznych ćwiczeń. *Wesoły.*

## Czuły list kelnera bilardowego.

Panno Walero!

Zbyt *długim sztosem*, ciągniesz me męki, wciąż odmawiając mi swojej ręki. O tak! gdym nieraz prosił do tańca, tyś mi robiła zawsze *cofańca*, a niech no Walek, co się rozbija, lub jaki inny *fuszer od kija*, brzęknął przed tobą nabitym trzosem, tyś doń leciała zaraz *klapsztosem*.

Jam przez to cierpiał wielką niedolę, bo wyprawiali mi *karambole*. Dziś nieśmiem przebyć twojego progu, jak kocham szczerze *matkę do rogu*, lecz pragnę skończyć raz moją biedę i rozbić złości twej *piramidę*, a jeśli tego *sztosu* nie zrobię, to łeb o *bandę* rozbiję sobie.

Aby wróciły znów szczęścia chwile, stanowczo *kraję pod siebie bilę*.

Twarz twoja panno, tak mnie zachwyca, jakoby pierwsza *kwadra* księżyca, a mój kompliment do tego zmierza, byś odpisała mi bez *fałszerza*, czy będzie ze mną panna Walera, przez całe życie grać w *alagiera* i czy się zgadza moja pieszczotka, bym śmiało ruszył *z punktu do środka*?

O to cię proszę przez moją muzę, całując w myśli ust twoich *łuzę*.

*Wacek Sztosikiewicz.*

---

## Złote myśli z ksiąg indyjskich „Bartriwori«.

To co każdemu w odwiecznej potędze
Zapisał Stwórca w świętej losów księdze —
Szczęście, ubóstwo, czy skarbów też wiele,
To mu z pewnością przypadnie w udziele,
Czy on w pustyniach tajemniczych żyje,
Czy się na górach niedostępnych kryje.

Więc bądź spokojnym i patrz bez zawiści
Na szczęście drugich — na możnych korzyści,
Bo czy ty wodę z małej czerpiesz rzeki,
Czy dzbanem sięgniesz w głębie oceanu —
To więcej twego nie napełnisz dzbanu,
Jak po brzeg tylko wskazany przed wieki!

*Anna Neumanowa.*

---

## Prawdziwy żart.

Na linii kolejowej między Ostrowem, a Krotoszynem, wszedł do wagonu czwartej klasy pewien włóczęga i zasiadł sobie wygodnie na ławce, naturalnie bez biletu. Wtem konduktor pyta go się o bilet po niemiecku, na co ten mu nic nie odpowiada, nie rozumiejąc takiej wykształconej mowy, a jakiś jegomość pyta go się po polsku, gdzie ma bilet, na co mu on odpowia:

— Służyłem u Kaczmarka i nie dał mi zasług, więc nie mam za co biletu kupić.

Ów jegomość, chcąc sobie zrobić żart, odpowiada konduktorowi po niemiecku:

— Służył u Bismarka i nie dostał zasług, więc nie ma za co biletu kupić.

Konduktor zwoławszy naczelnika stacji, opowiada mu to samo. Ten naturalnie w śmiech i ujrzawszy stary kapelusz, leżący na ziemi, podnosi go i wciska owemu włóczędze na głowę, mówiąc:

— Kiedyś służył u Bismarka, to możesz darmo jechać.

---

## Pewna fabryka.

Pewna fabryka rozesłała swoim akcjonarjuszom okólnik następujący:

»Wielka, znana w całym kraju i zagranicą fabryka puszczania baniek mydlanych, stoi nad przepaścią!

Obecny zarząd, nie zasługuje na zaufanie!

Puszczanie baniek mydlanych, odbywa się coraz gorzej!

Nie ulega wątpliwości, że wobec dzisiejszych stosunków ekonomicznych w Europie, puszczanie baniek mydlanych jest wielką i jedyną dla nas chlubą. Postanowiwszy więc **w imieniu wielu**, wprowadzić do zarządu fabryki nowe odznaczające się energją i poświęceniem żywioły, dołączamy przy niniejszem listę proponowanych na członków zarządu — kandydatów, upraszając szanownego pana, o usilne poparcie naszej, w imieniu wielu propagandy«.

Z uszanowaniem
Jan Pokornicki.
Daniel Schwactzenmach.
Gotlieb Donnerwetter.

**LISTA KANDYDATÓW.**

**1. JW. Pokornicki.**
**2. W-ny Schwarcenmach.**
**3. W-ny Donnerwetter.**

## Preferansiście.

(Wiersz jubileuszowy).

Jako wojownik stojąc dzielny
Wpośród gradu kul,
Wśród kasyna ścian ty zgrałeś
Pięć tysięcy pul!
Zawsze skromny, gdy do wyższych
Inni pną się sfer,
Powtarzałeś ciągle: piki!
Trefl, karo i kier!
Aby bliźnim, jak należy
Święty spłacić dług,
Pomagałeś całem sercem,
Kiedyś tylko mógł,
I zła w oku twojem lśniła
Nieraz w smutny czas,
Gdy przejrzawszy coś miał w ręku,
Rzec musiałeś: pas.
Hołd więc słuszny odbierz w dani,
Jako dzielny mąż,
Co bez troski i bez trwogi
Rżnie w preferka wciąż.
O tak mężu! ty czci wielkiej
Budzisz w sercach szał,
Że choć u nas na tem polu,
Ktoś się poznać dał.

## Iskierki.

— Panie! czemu się pan dotychczas nie ożenił?
— Jestem fabrykantem gorsetów.

---

— Mój drogi, powiedz mi, proszę, co to jest właściwie *Vade meum?*

— To widzisz, tak nazywamy zwykle przedmiot, bez którego obejść się nie można i który trzeba mieć ciągle przy sobie.

— Rozumiem, ale dla czegoż, zamiast trudnego do opamiętania *Vade meum*, nie mówić wprost portmonetka z pieniędzmi.

---

# Boże Narodzenie.

Opowiadanie.

Kolega mój szkolny Michał, nie uczył się, jak potrzeba i wstąpił z tego powodu przed czasem do wojska. Nie pożałował tego, bo zrobił karjerę, został bowiem, licząc zaledwie lat trzydzieści, rotmistrzem. Widywaliśmy się czasami, bawił tam i owdzie, ale najchętniej w miejscu rodzinnem.

— Dziś wielkie święto — rzekłem do niego pewnego razu — dziś święego Michała, a zatem i twoje imieniny. Pomyślności mój drogi!

— Dziękuję serdecznie, ale ja świąt żadnych nie obchodzę, bo ani w świętych, ani w djabłów nie wierzę. Wierzę tylko, jako żołnierz w cesarza, a po nim w mego pułkownika.

— Ale mój kochany, cesarz jest tylko człowiekiem, pułkownik może mniej, niż człowiekiem, a patron twój był... archaniołem.

— Niech tam sobie buja po szerokim niebie, u mnie nie ma znaczenia. Ja tylko jedno święto w roku obchodzę, a tem jest Boże Narodzenie.

— To mnie cieszy.

— Tak przyjacielu. Obchodzę je, bo bardzo miłe przypomnienie z lat dziecięcych mnie do tego przymusza,

— O, piękne to przypomnienie!

— Bardzo piękne. Żyli jeszcze rodzice, żyło i rodzeństwo, cieszyliśmy się wszyscy niezmiernie, gdy drzewko zajaśniało, śpiewaliśmy, klaskaliśmy w ręce, tańczyliśmy na około drzewka. Błogie to czasy były!.. Ach, kochałem ja moich rodziców — teraz dopiero czuję, jak mocno ich kochałem!...

. . . . . . . . . . . . . . . .

Na święto Bożego Narodzenia odwiedziłem Michała. Drzewko pięknie ozdobione najrozmaitszemi podarkami stało na stole. Michał pozapalał świeczki.

— A dla kogo to wszystko? — zapytałem.

— To dla Hani, to dla Frani, to dla Betti, to dla Netti, to dla Sary, to dla Estery, to dla...

— Dosyć, dosyć Michale. Lecz co to właściwie za panny?

— Nie tylko panny, są między niemi mężatki i wdowy.

— Ale skąd się one u ciebie biorą?

— Wszak to moje kochanki.

— A ile ich wszystkich?

— Do pięćdziesiąt.

— Piękna liczba.

— Dla rotmistrza od ułanów nie za wielka.

— A kochasz wszystkie?

— Kocham.

— Jedną mniej, drugą więcej?

— Nie, jednako. Nie chcę w żadnej zazdrości budzić. Popatrz tylko, jak one tam sobie wszystkie zgodnie spoczywają.

— Gdzie człeku?

— W drugim pokoju.

Zgłupiałem prawie. Michał poszedł do drugiego pokoju, przyniósł wielki kosz i otworzył wieko.

— Popatrz, popatrz — rzekł, śmiejąc się głośno.

Wejrzałem do kosza — cały chaos liścików miłosnych, cały stos fotografji, cały chaos kart wizytowych i chusteczek do nosa. Teraz i ja się rozśmiałem i rozstałem się z śmiechem na ustach z moim kochliwym przyjacielem.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Po roku, w to samo święto, przyszedłem do Michała. Zastałem znowu drzewko na stole z podarkami i świeczkami.

Michał mi jakoś nie po staremu wyglądał, był blady, smutny, małomówny.

— Cóż to tobie?

— Nic.

— Ale przecież...

— Nic — nic...

— Coś cię trapić musi.

Westchnął głęboko.

— Nieszczęście jakieś...

— Nie przyjacielu, jestem bardzo szczęśliwy.

— A dlaczego wzdychasz?

— Ot przypatkiem....

— Pewnie, któraś z twoich licznych kochanek...

— Nie mów mi o tem.

— Dlaczego!... Wszak widzę znowu podarki na drzewka.

— To nie dla nich.

— A więc dla innych, dla nowych. Kosz twój pewnie już przepełniony.

— Przeciwnie, kosz zupełnie próżny, wszystko poszło do pieca — w ogień.

— Nie pojmuję... A dla kogo to drzewko?

— Dla jednej...

— Kochasz więc serjo?

— Kocham...

Łza mu w oczach zabłysła.

Michał kochał rzeczywiście, kochał szalenie. Wynurzył swe serce przedemną, wyspowiadał się.

Otóż, będąc pewnego wieczora w teatrze, ujrzał na scenie chórzystkę, która go swoją nadzwyczajną pięknością oczarowała. Zaznajomił się z nią, poczęli się kochać. Miłość jego wzrosła do tego stopnia, że jej zabronił dalej do teatru uczęszczać, a ponieważ ona zawodu, do którego wielkie zamiłowanie czuła, opuścić nie chciała, postanowił ją kształcić swoim kosztem na spiewaczkę. Posiadała talent niezwykły, w przeciągu pół roku tak się wydoskonaliła, że lada dzień wystąpi po raz pierwszy w roli Marty.

Byliśmy w teatrze, sypaliśmy grzmotliwe brawa. Debiut panny Sydonji udał się wyśmienicie. Została zaangażowaną.

Któż był szczęśliwszy od Michała?...

Najął jej pyszne mieszkanie, kochał bez granic, ubóstwiał ją.

. . . . . . . . . . . . . . . .

I znowu przez dłuższy czas nic o nim słyszałem, bo dniem i nocą tylko u niej bawił. Nareszcie spotkaliśmy się na ulicy.

Michał bardzo źle wyglądał, nie poznałem go prawie.

— Jak się masz człeku?

— Dziękuję, dobrze.

— A ona?

— Co za ona?

— Primadonna Sydonja?

— Dziękuję i jej dobrze.

— Kochacie się jeszcze, jak pierwej?

— Ja ją kocham szalenie.

— Widać po tobie. Ale ona?

— Ona teraz wielka pani. Każdy ją uwielbia, chwali, każdy jej nadskakuje, pochlebia, koperczaki stroi — a ja tego znieść nie mogę.

— Sameś sobie winien. Wiemy dobrze, że aktorka staje się zazwyczaj z czasem dobrem publicznem. Lecz mów, czy cię kocha, czy jest ci wdzięczną?

— Tak, kocha, kocha — ale ona teraz wiele wymaga, wiele potrzebuje.

— Jak primadonna.

— Naturalnie. Na dziś wieczór, naprzykład, parę zausznic brylantowych mieć musi.

— A jak nie?

— To będzie się dąsać. Pewien bankier koło niej się kręci — gdyby tylko pisnęła — Ale ja nie pozwolę, nie pozwolę!... Czy nie masz przypadkiem dwustu guldenów przy sobie?

— Nie przyjacielu. Wszak wiesz, że mam żonę i czworo dziatek.

— Przepraszam, ale nie mam czasu, muszę szukać pieniędzy. Adieu!

— Do widzenia!

Poleciał, ani mi ręki nie podał.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Czułem się trochę obrażonym i postanowiłem więcej o nim nie myśleć. I zapomniałem rzeczywiście o Michale. Minęło pół roku. Byłem właśnie w domu. Małgosia, moja córeczka, znajdowała się w kuchni.

— Tatku, ktoś puka — zawołała.

— Otwórz.

Otworzyła i przyleciała do pokoju.

— Jakiś człowiek biedny.

— Żebrak, oto dwa centy, daj mu je.

Poszła i znowu wróciła.

— To nie żebrak, on z tatkiem mówić sobie życzy.

— Niech wejdzie.

Wszedł... Kto?... Michał w ubraniu cywilnem, lichem, obdartem.

— Michał?!...

— Tak przyjacielu. Przychodzę cię pożegnać — odjeżdżam.

— Co się stało?... dla Boga mów!

— To się stało — że mnie z wojska wyrzucono.

— Za cóż?

— Za długi lekkomyślne.

— Co ja słyszę?... Wszak masz wuja zamożnego w Gdańsku.

— Wuj mój dużo dla mnie uczynił — prawie za wiele — płacił i płacił bez końca i miary — więcej żądać nie mogę.

— A Sydonja?

— Hjena, gadzina — pojechała do Niemiec na występy gościnne z bankierem.

— A dokąd ty iść zamyślasz?

— Precz, precz za granicę — dłużej tu pozostać nie mogę.

Będąc sam w przykrem położeniu, wcisnąłem mu w dłoń kilka guldenów, przyjął, podziękował.

Uściskaliśmy się — zapłakał i mnie łzy w oczach stanęły.

— Bywaj zdrów!

— Szczęśliwej drogi!

. . . . . . . . . . . . . . . .

Minął rok jeden i drugi. Michał pojechał i przepadł. Myślałem, że już nie żyje, gdy nagle na wilję Bożego Narodzenia u mnie się zjawił. Cieszyłem się nim, jak bratem rodzonym. Przedewszystkiem, postarał się o wspaniałe drzewko i podarki dla mojej rodziny. Była to jego słaba strona, to drzewko... Potem począł się spowiadać.

— Tak to było... Wiedziałem dobrze, że wuj mój w Gdańsku, należy do ludzi, którzy łają, a dają. Udałem się więc wprost do niego i wyłuszczyłem mu szczerą prawdę. Krzyczał, hałasował, gniewał się, srożył się, wskazał mi drzwi, a za minutę znowu do siebie przywołał. Wystarał się dla mnie o posadę podrzędnego urzędnika na kolei, ale zakazał surowo go odwiedzać, choć nie posiadał, ani żony, ani dzieci. Pełniłem przez dłuższy czas moje obowiązki na kolei. Pewnego dnia ujrzałem duży afisz teatralny na murze.

*„Słynna Primadonna Sydonja, wystąpi w teatrze jako gość, trzy razy w Gdańsku“.*

— Rana w sercu mojem otworzyła się na nowo. Chciałem ją widzieć i słyszeć — i znowu nie chciałem — dwa razy już śpiewała. Po raz trzeci i ostatni miała wystąpić w Mozarta *Don Żuanie*. Wahałem się długo, lecz nabrałem jakoś odwagi i udałem się do teatru.

— Widziałem ją, a przeczytawszy ku końcu opery napis na grobie jenerała:

*„Tu zemstą oczekuje mego mordercę!“* uczułem okropny ból w sercu. Wyszedłem na ulicę, czekałem na nią. I ona wyszła, wsiadła do dorożki, a bankier za nią. Nie namyślając się, wskoczyłem także i znalazłem się na przedniem siedzeniu w dorożce. Bankier impertynencko mnie traktował. Odpowiedziałem dwoma silnymi policzkami z prawej i lewej strony, chwyciłem nadto rywala za kołnierz i wyrzuciłem z dorożki. Padł na bruk, ale nie poniósł, jak się potem dowiedziałem, żadnej szkody. Woźnica jechał sobie dalej. Byłem z Sydonją sam, na sam. Zdaje się, że zemdlała z przestrachu, bo dopiero po długiej chwili wychyliła głowę z dorożki, wołając drżącym głosem:

— Maurycy! Maurycy!...

— Mnie się zdaje — rzekłem — że mam większe prawo do ciebie, jak ten bankier. Poznała mnie po głosie.

— To ty Michale?

— Tak jest.

— W tem ubraniu?

— Nie jestem już żołnierzem.

— Dla Boga świętego, co ci mój Maurycy zawinił?

— Tyś zawiniła, niewdzięczna zalotnico!

— A dlaczego jego karzesz?

— I ciebie ukarzę!

— Idź precz odemnie — ja ciebie nie kocham!

— A jego kochasz?

— Tak, tak kocham.

— Bo złotem swojem cię karmi?

— Tak, tak.

— Podła, bezczelna kobieto!

— Jestem panią mojej woli. Precz, precz! Idź sobie!

— Nie pójdę!

— Narobię gwałtu, na straż zawołam!

— A ja cię przecież nie opuszczę.

— Idź sobie!

— Nie, nie pójdę, jak mi Bóg miły!

— Napadłeś nas na ulicy, jak rabuś, każę cię aresztować.

— Nie boję się.

Zamilkła.

— Czego ty właściwie żądasz? — zapytała po dobrej chwili.

— Satysfakcji — odpowiedziałem.

— Rozumiem cię.. Oto masz, bierz wszystko!—Zdjęła z siebie klejnoty, zegarek, wydobyła z kieszeni sakiewkę — oddała mi.— Teraz już nic ci nie winnam, wszystkie twoje wydatki zapłacone hojnie.

— Nie moja pani, ja takiej satysfakcji nie żądam! — rzekłem i wyrzuciłem wszystko oknem dorożki na ulicę.

— Łotrze? — wyrzekła Sydonja, a zakrywszy twarz obydwoma rękami, poczęła głośno płakać. Dorożka stanęła przed bramą pierwszorzędnego hotelu.

Mnóstwo ludzi krążyło ulicą. Wyskoczyłem z dorożki i zgubiłem się w tłumie. Słyszałem jednak, jak woźnica głośno do Sydonji przemówił:

— Pociąg pospieszny do Wrocławia odchodzi o godzinie w pół do pierwszej, przyjadę zatem jeszcze przed dwunastą.

Straszna myśl strzeliła mi do głowy. Poleciałem na dworzec kolejowy, a mając wszędzie wstęp wolny, udałem się na szyny. Postępowanie Sydonji rozbestwiło mnie, wściekałem się ze złości i zazdrości.

— Niech zginą! zawołałem — Jedno poruszenie szyny za pomocą drąga żelaznego, a pociąg z mostu w przepaść runąć musi!... Zgroza!... Cały pociąg — tyle ludzi niewinnych!...

A ja tylko jej śmierci pragnę i śmierci tego bankiera —to zbrodnia okrutna!... Ale nie ma innego sposobu, nie ma — nie ma — i ja zginę — zginiemy wszyscy razem... Boże odpuść mi!... Znalazłem wnet dotyczące miejsce, postarałem się o drąg żelazny, spróbowałem — dobrze — bardzo dobrze — musi się udać! Napis na nagrobku jenerała w Don Żuanie stanął mi przed oczyma: *Ta zemsta oczekuje...* jedenasta godzina minęła. Śnieg począł padać, wiatr powstał, szmer uschniętych liści na drzewach uderzał me uszy, bo mówił o zwiędłych nadziejach — przypominał koniec...

Zrobiło mi się zimno, otucha mnie opuściła. Poszedłem do restauracji, kupiłem flaszkę rumu, łyknąłem sporo — i znowu na szyny.

Wtem ujrzałem zdaleka domek budnika, z jaskrawo oświatlonem oknem. Dziś wilja Bożego Narodzenia — rzekłem — tam pewnie drzewkiem się cieszą — ja tego roku drzewka nie mam. Mam jeszcze godzinę czasu — niech i ja jeszcze raz przed śmiercia je zobaczę. Wszak zginę — zginąć muszę — o jak mi zimno!

Pociągnąłem znowu rumu, zbliżyłem się do okna oświetlonego, wejrzałem weń. Boże wszechmocny! Widziałem drzewko jaśniejące, widziałem ojca mego, matkę, siostry, braci, widziałem samego siebie, jako chłopca małego. Cieszyliśmy się, spiewaliśmy, tańczyliśmy na około, klaskając w ręce. Stałem długo, jak osłupiały, jak do ziemi przykuty, a łzy rzęsiste z ócz mi się lały... W tem ręka niewidzialna zasłoniła okno, zrobiło się ciemno. Przeraźliwy świst zbliżającej się lokomotywy dał się słyszeć — pociąg pospieszny przeleciał szumnie przez most i znikł niebawem w kurzu śniegowym. Ja zaś udałem się spokojnie do mego mieszkania, położyłem się i spałem wyśmienicie. Rano dowiedziałem się, że wuj mój zeszłej nocy umarł i cały majątek mnie, jako najbliższemu krewnemu zapisał. Jestem, jak ci wiadomo temperamentu bardzo kochliwego. Zakochałem się więc niebawem, prawdopodobnie po raz ostatni i wziąłem poczciwą dziewczynę za żonę,

— Niech tam ona sama drzewkiem się cieszy, a ja przyjechałem, by w dzień Bożego Narodzenia na grobie moich rodziców, siostr i braci uklęknąć i gorącą modlitwę złożyć. Wszak im tylko zawdzięczam, że nie zostałem zbrodniarzem!

*Leopold Faust.*

# Echa zamiejscowe.

*Warszawa.*

Ustawa kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, przy Towarzystwie pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, została przez ministerjum spraw wewnętrznych zatwierdzona. Ma ona na celu dostarczanie swym członkom możności robienia oszczędności i utworzenia przez to pewnego kapitału na starość i na wypadek nieudolności do pracy. Członkowie dzielą się na rzeczywistych, protektorów i honorwych. Rzeczywistym członkiem kasy, korzystającym ze wszystkich praw w ustawie przewidzianych, może być każdy członek Tow. prac. handl. i przem. m. Warszawy, bez różnicy płci. Do grona członków protektorów kasy, może się zapisać każdy właściciel zakładu handlowego i przemysłowego.

Zarząd Towarzystwa ma niebawem przystąpić do zorganizowania kasy, obecnie jest tłómaczony na język polski, tekst rosyjski ustawy.

Od roku, w szpitalu św. Łazarza w Warszawie przebywa grek, nawiedziony chorobą trądu. W sprawie tej, departament medyczny przy rządzie ministerjum spraw wewnętrznych, nadesłał obecnie w tych dniach do tutejszej władzy policyjnej wezwanie, ażeby chorego wysłano z Warszawy do kolonji petersburskiej, utrzymywanej przez petersburskie towarzystwo walczące z trądem. Tutejsza rada lekarska nie wie, w której dzielnicy guberniji wspomnianej kolonia ta się znajduje, niewiadomo więc do której stacji kolejowej chory ma być odstawiony; pozostanie on więc nadal w tutejszym szpitalu, do czasu otrzymania z departamentu medycznego dokładnego adresu owej kolonji dla trędowatych.

Jeden ze znanyyh fotografów tutejszych, otrzymał świeżo list z Pretorji od fotografa warszawianina p. Melecjusza Dutkiewicza, syna zmarłego niedawno popularnego w mieście naszem również fotografa i założyciela już nieistniejącej firmy »Kloch i Dutkiewicz«. Ziomek nasz opuścił Warszawę przed kilkunasty laty i jako członek wielkiego Towarzystwa fotograficznego, otrzymał misje fachowe do Chicago i Kalifornji, w roku zaś zeszłym do Nerczyńska. Obecnie, na zlecenie swojej kompanji, p. Dutkiewicz utrwala w kliszach epizody z wojny angielsko-boerowskiej dla użytku sztabu transwaalskiego, oraz tygodników illustrowanych w Europie.

W tych dniach koleją wiedeńską wyruszyli zagranicę, dwaj zaliczeni do zapasu oficerowie jednego z pułków konsystujących w Warszawie, z celem wzięcia udziału w wojnie angielsko-transwaalskiej. Ochotnicy ci postanowili zaproponować swe usługi boerom.

Palestra polska, a wraz z nią całe społeczeństwo poniosło dotkliwą stratę.

Mecenas Stanisław Zalewski, jeden z najstarszych prawników naszych, mąż nieskazitelnych cnót obywatelskich, niezłomnego charakteru, wierny syn ziemi, na której się urodził, zamknął po znojnem życiu strudzone powieki.

Urodzony w d. 14 lipca 1862 r. w Kaliszu, po ukończeniu kursów prawnych, mianowany został w r. 1847 patronem trybunału w Płocku.

Spędziwszy uprzednio trzy lata w Siedlcach, (1861—1863) powrócił w roku 1866 do Warszawy, był obrońcą przy sądzie apelacyjnym, a później mecenasem przy departamentach rządzącego senatu.

Po reformie sądowej, został adwokatem przysięgłym i do ostatnich chwil życia zajmował się praktyką prawną.

---

*Częstochowa.* Pielgrzymki pątników do Jasnogórskiej świątyni, nie ustają przez rok prawie cały. W porze wiosennej, letniej, jesiennej, przybywają tu liczne kompanje, po parę tysięcy osób płci obojej niekiedy liczące. Z dniem 1. listopada do końca kwietnia, kompanje takie nie zjawiają się na Jasnej Górze. W zamian za to, widzieć można codziennie przecięciowo kilkadziesiąt osób, przybywających z rozmaitych stron kraju, przeważnie należących do klasy zamożniejszej i wykształceńszej. Nie ma dnia, aby w godzinach przedpołudniowych, kaplica Matki Boskiej nie była zapełnioną modlącymi się pielgrzymami, a przy każdym z konfesjonałów spostrzegać się daje pewna grupa osób, oczekujących kolei, celem przystąpienia do spowiedzi św. Kto tylko pragnie się szczerzej pomodlić i swobodniej oddać się praktykom religijnym, w porze tej przybywa do Częstochowy, a są i tacy, którzy corocznie pielgrzymki swe ponawiają. Niepodobna także zamilczeć o nader miłym i budującym widoku jaki się przedstawił oku, gdy w ostatnich czasach kilkadziesiąt furmanek wiejskich, ochoczo zabrało się do wywożenia gruzu, nagromadzonego około świątyni i zabudowań klasztornych, podczas letniej restauracji. Furmanki te dobrowolnie, bez żadnego wynagrodzenia, przybyły z parafji okolicznej i jednego dnia kmiotkowie na nich przybyli, oczyścili z gruzów to święte miejsce, umniejszając przez swoją ofiarność przełożonemu klasztoru kosztu najmu ludzi i koni. Jest to jeden z bardzo licznych dowodów ustawicznej czci miejsca świętego a pobożności i ofiarności naszych kmiotków, godzien największego uznania ze strony tych wszystkich, którzy dbają o zachowanie pamiątek przeszłości, a którym to zbiorowe poczucie ludu naszego, winno być przykładem i stosowną do naśladowania zachętą.

---

*Toruń* (Prusy Zachodnie). Jest nadzieja, że Toruń otrzyma wicekonsulat austrjacki, do którego flisacy będą mogli zwracać się o opiekę, ilekroć znani »kupcy«, jeżdżący z nimi tratwami, zechcą ich pokrzywdzić przy wypłacie. Dziś biedny flis, nieznający języka niemieckiego, nie może się porozumieć z władzami pruskiemi i dla tego jest zupełnie zdany na łaskę i niełaskę owych »kupców«, których niesumienność przy wypłatach nieraz nad Wisłą przykre wywołuje sceny. Flisak, biegnący z płaczem za »kupcem« i błagający o wypłatę należytości, to obrazek w Toruniu powszechnie znany.

---

*Washington* (Ameryka). W sprawie spisu ludności, który odbędzie się w przyszłym roku, polacy po wszystkich miastach, miasteczkach i wogóle wszędzie, gdzie tylko zamieszkują, zapisywani będą pod specjalną rubrykę ich własnej narodowości. Nadto, pismom polskim przesłane zostaną instrukcje i bliższe informacje, tyczące sprawy spisu, które bezwarunkowo okażą się pod wielu względami bardzo dla polskiej narodowości korzystne. W biurze spisu ludności, pracuje dwóch urzędników z doskonałą znajomością języków: polskiego, angielskiego, niemieckiego, francuskiego, włoskiego i innych. W niezadługim czasie przyjmie to biuro jeszcze paru polaków. Polacy w Milwaukee, liczącym około 35.000 dusz, uzyskali od zarządu przyszłorocznego spisu ludności, że polaków zapisywać będą jako narodowość.

---

*Ciężkowice.* Przepraszam szanowną, a dzielną redakcję, że zacząć muszę od komplimentu. *Tygodnik Narodowy* zrozumiał, że pismo polskie, wydawane w swoim kraju i dla swoich ziomków, powinno mieć jak najwięcej wiadomości i korespondencyj, od nich, z ich miast, miasteczek, wsi, osad, powiatów, prowincyj. Wszystko, co gdziekolwiek w kraju naszym sprawia nam radość, wesele, ból, lub cierpienie, powinniśmy wiedzieć, jak brat o swoim bracie, jak dzieci o swoich rodzicach i naprzemian. Dobrze jest także zapoznać się ze sprawami boerów, filipińczyków, sudańczyków, managaskarczyków i t. p., ale najprzód powinniśmy szczegółowo wiedzieć o swoim domu i całej naszej polskiej rodzinie. To jest święty obowiązek. Wtedy dopiero poznamy się tak, jak znać się powinniśmy, wtedy dopiero będziemy mogli sobie skutecznie dopomagać, radzić, podnosić się, bronić od złego, a przyświecać sobie dobrem, jak ta jutrzenka przyświecała nam i przyświeca ciągle, na lazurowym firmamencie nieba. *Tygodnik Narodowy* wie o tem dobrze, a jego rubryka: *Echa zamiejscowe*, coraz gorliwiej urzeczywistnia tę prawdę, że najprzód znać musimy siebie samych.

By dodać choć skromną cegiełkę do tego gmachu samopoznania, przełamuję jakąś chwilową w sobie niechęć do pisania i posełam wam choć kilka słów z Ciężkowic, jeszcze raz przepraszając za ten wstęp, introdukcję, czy jak tam chcecie.

Ciężkowice budzą się do życia. Kasyno powiększa się w nich miejscowymi i zamiejscowymi członkami tak, że na wspomnienie nadchodzącego karnawału, płci pięknej i brzydkiej, aż ślinka idzie... Co to będzie z uroczem pańiestwem i chwacką, jak koń arabski, kawalerją?... A młodzież tutejsza, to nie zdechlaczki, z pod ogona sroki. To ludzie z krwią i sercem! Panienki piękne w całej okolicy, jak róże w Kąśni dolnej, a gospodarne, jak ten sławny i wykształcony po europejsku, ogrodnik Paderewskiego, który niedługo, cierpliwością, pracą, zdobytą nauką, a siłami tylko polskiemi, eden nam tutaj ukaże. Tylko cierpliwości i cierpliwości, bo nie odrazu Kraków zbudowano. Ciężkowice mają swoją bibliotekę do czytania, a czytają zawzięcie, mają trzech młodzieńców na uniwersytecie jagiellońskim, idealne powietrze i prześliczną okolicę. Mamy tu chrześcijańską tylko radę gminną, trzy zamożne, a wyborne katolickie sklepy, znakomity sąd, urząd podatkowy, katolicką trafikę, aptekę, dwóch lekarzy-doktorów, stację kolei, rzekę, skały, góry, laski, a latem na nich poziomki, jagody i grzyby, że aż nogi trzęsą się do spacerów. A kąśnieńskie masło, sery, cały nabiał, a brykające krówki, cielęta i kozy — aż hej! To mi rzecz, w to mi graj, a nie w jakieś niemieckie *bady, sztejny, brunny*, gdzie ani naszego ludu, bydełka, nieba i powietrza nie ma polskiego, a to grunt przecież w całej kuracji chorób, dolegliwości fizycznych i moralnych! Tu, pomiędzy swoimi — jedwabne życie, aksamitna śmierć!

W Ciężkowicach nie mamy jednak żadnego bruku, choć kamieni i skał dokoła pod dostatkiem; nie mamy chrześcijańskiego piekarza, reźnika, dostatecznego w nocy oświetlenia miasta i ani jednego cyrulika *vulgo* fryzjera. Akuszerka, czyli *madame de Pompadour*, jest, rzemieślnicy, acz nietędzy, są, pijacy — są, choć w mniejszej ilości, od czasu, gdy nasz Paderewski, podobnie jak hr. Zamoyski w zakopańskiem, wydzierżawił tutejszą propinację; dzieci są, szkoła, poczta, telegraf, handel, jaki taki jest. Niestety, kościół parafialny, ta waląca się pamiątka po Kaźmierzu W., spać nam nie daje i rozdzierającym, niemal ludzkim głosem woła do nas wszystkich: »dzieci moje, cóżem wam uczynił, że zapomnieliście o mnie!?«...

---

*Stanisławów.*

Staraniem reprezentacji miasta Stanisławowa, odbyło się dnia 15. b. m. nabożeństwo

żałobne za duszę ś. p. Franciszka Smolki. Na nabożeństwie byli obecni reprezentanci wszystkich władz autonomicznych i rządowych. Nabożeństwo odprawił ks. proboszcz Piaskiewicz. Podczas mszy św., artyści teatru lubelskiego: panna Lenartowicz i p. Olszewski odśpiewali kilka pieśni.

W niedzielę dnia 17. b. m. odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Smolki w nowo zbudowanej synagodze izraelickiej.

Z dniem 1. maja 1900 r. otworzona zostanie w naszem mieście filja krakowskiego towarzystwa ubezpieczeń, której kierownikiem będzie p. Mateusz Pilecki. Stanisławowska filja zatrudniać będzie około 30 urzędników.

Dnia 17. b. m. odbyła się w sali »Sokoła« wenta gospodarska na dochód koła pań Tow. szkoły ludowej. Zabawa ta cieszyła się nader licznym udziałem publiczności. Wenta zaopatrzoną była w najrozmaitsze artykuły spożywcze i gospodarcze na święta, oraz stosy zabawek.

W sali Towarzystwa ręk. im. Kilińskiego, odbył się uroczysty wieczór ku uczczeniu pamięci bohaterów powstania z r. 1831 roku. Słowo wstępne wygłosił p. Mil. poczem chóry towarzystwa odśpiewał pieśń »Z dymem pożarów«. Po deklamacji, wygłoszonej przez p. M. i śpiewu solowego p. G., zaintonował chór towarzystwa patrjotyczną pieśń »Jeszcze polska nie zginęła«, którą zebrani stojąco wysłuchali.

Staraniem uczniów VIII. klasy w tut. gimnazjum odbył się w sobotę dnia 9. b. m. poranek uroczysty ku czci Mickiewicza i Słowackiego. Program rozpoczął się odczytem »Romantyzm u Mickiewicza«, dalej nastąpiły deklamacja i część muzyczna. Uroczystość zakończył prof. Bryła krótką serdeczną odezwą do młodzieży, by cześć dla nieśmiertelnych wieszczów nigdy w niej nie wygasła. Koncert Chopina, urządzony staraniem Tow. muzycznego im. Moniuszki, ku uczczeniu 50-letniej rocznicy śmierci wielkiego muzyka, zgromadził w sali teatralnej inteligencją miejscową i zamiejscową. W pięknych słowach skreślił na wstępie p. Adelman życie nieśmiertelnego wieszcza i znaczenie utworów jego w muzyce. Pięknie odegrała na fortepianie znakomita artystka p. Adelman utwory Chopina »Largetto« i »Allegro vivace«, a »Maestoso« Chopina odegrała artystycznie panna Link. przy akompaniamencie pani Adel.

Po części wokalnej oddeklamowała z bardzo wielkiem powodzeniem pani Wierzejska wiersz J. Kasprowicza, napisany ku uczczeniu 50-letniej rocznicy śmierci Chopina. Kilka pieśni szoponowskich, a między innemi »Marzenie« i »Dwojaki koniec«, odśpiewał bardzo pięknie chór męzki Tow. Moniuszki im. pod batutą p. Flacha. Ogólne uznanie zdobyło sobie solo na trąbkę w mazurku Chopina „Czyja wina“, oraz polonezy c-mol i a-dur Chopena, odegrane przez muzykę wojskową 95 pułku, pod wybornem kierownictwem kapelmistrza. Wieczór znanego monologisty p. Bagącza, odbył się dnia 9-go b. m. w sali »Sokoła« i zgromadził liczną publiczność, która bawiła się wyśmienicie.

W czasie świąt Bożego Narodzenia, odbędą się w sali teatralnej przedstawienia „Jasełek“, przez tutejszą młodzież szkolną.

Teatr lubelski pod dyrekcją p. Czystogórskiego, opuszcza w tych dniach nasze miasto.

*(Stb).*

# Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

**Teatr.** P. p. Blumenthal i Kadelburg wystrugali dalszy ciąg swojej farsy: *Pod białym koniem* i dali jej tytuł *Jeszcze raz*, rozłożywszy na trzy razy, bo na 3 akta treść, która na jeden nie wystarcza. Prawdziwa to kawa niemiecka, przez którą na dnie filiżanki widać kwiatki. Zaleta jej dla sceny polskiej stanowi dobre i poprawne tłomaczenie p. Sachorowskiego. Właściwie nie dzieje się nic w tej farsie, z wyjątkiem kilku kwiatków na dnie, jak w kawie niemieckiej. Trochę się można pośmiać, ale to znowu zawdzięcza się przewybornej grze naszych artystów, pomiędzy którymi p. Feldman jako „spasiony filister« rej wiedzie i naturalnym swoim komizmem wywołuje szczery i serdeczny śmiech.

Wybornym porucznikiem, pełnym efronterji wojackiej jest p. Wostrowski. Panna Ordonówna ślicznie wygląda i z ujmującym wdziękiem gra zalotną niemeczkę: artystkę — malarkę Gruchającą parą dobrze gruchają pp. Nałęczówna i Sosnowski. Z sympatyczną energją, w której się miesza trochę zazdrości i trochę miłości gra stadło małżeńskie: pp. Kwiecińska i Kliszewski.

Choć to epizod — nie mniej, jednak, p. Walewski z roli poczciwego profesora, zrobił prawdziwy typ.

Dopełniają całości w małych rolach pp. Antoniewski, Zajdowski, Rybicka, Kasprzycki, Modzelewska i Micińska.

---

Autor *Debiutantki*, sztuki, o której w poprzednim numerze zamieściltśmy obszerne sprawozdanie, odsłonił przyłbicę autora. Jest nim p. Ludwik Heller, dyrektor naszego teatru. Publiczność na drugiem przedstawieniu *Debiutantki* zebrana licznie, gromkimi oklaskami przywołała autora, który się ukazał przed kurtyną. Pani Stachowiczowej i Kwiecińskiej z orkiestry podano piękne kosze kwiatów. Autorowi wręczono wieńce, ale — dyrektor pozwolił to tylko zrobić... za kulisami.

---

*Operetką.* Panna Schuppówna »dubluje« tytułową rolę w *Lalce*. Operetkowe postacie, mogą być, oczywiście, dublowane, ale pierwotność ich pozostanie zawsze jedna i ta sama, choćby się ja »triplowało« i »kwadruplowało«. Cała rzecz w tem, że zawsze jeden artysta, czy artystka będzie grał lepiej, albo gorzej i... nic więcej. Tak samo jest i z *Lalką*. Panna Schuppówna pod względem wokalnym i akcji, gra naturalnie gorzej od pani Kliszewskiej, ale nie gra źle, a ponieważ jest młodziutka i ładna, więc natura dopomaga sztuce i kto nie widział pani Kliszewskiej, dobrze się będzie bawił śpiewem i grą p. Schuppównej.

---

*Koncert.* Słynny niedawno jeszcze *Raulek*, a dziś pan Raul Koczalski wystąpił we Lwowie we wtorek ubiegłego tygodnia z koncertem, który należy nazwać Szopenowskim, gdyż tylko utwory tego mistrza wykonywał p. Koczalski. — Koncert, mimo to składał się z *trzech* części. Jeżeli w dziecku i młodzieńcu świat cały podziwiał w Koczalskim wybujałego, poprostu, nad wiek pianistę — to dziś, gdy z młodzieńca stał się mężczyzną, podziwiać musi pełny artyzm w grze, niezmierną subtelność i wniknięcie całą inteligencją w wykonywany utwór. Technika też artysty jest skończona i nietylko sięga do kulminacyjnej doskonałości, lecz palce zdają się stanowić całość z fortepjanem, który formalnie śpiewa pod aksamitnem dotknięciem artysty.

Publiczność zebrała się na ten koncert licznie, serdecznie oklaskiwała artystę, który też odwdzięczał się dodawaniem numerów po nad program. *(e.)*

---

*Z Paryża.*

W teatrach dano w ostatnich czasach dwa wybitniejsze dramaty. Właściwie na to miano zasługuje tylko pierwszy: *Przedmieście* Abla Hermanta.

Treść jego jest następująca:

Książę d'Entragues, pochodzący z dawnej arystokracji francuskiej, poślubił paryżankę z wychowania, węgierkę z urodzenia, pannę Margitę de Vandor. Odznacza się ona sporą dawką egzotyzmu i swobodą obyczajów.

Książe d'Entragues, który przed ślubem sądził, że jest »wolny od uprzedzeń«, spostrzega po ślubie, iż rzecz ma się inaczej i że Margita razi go pod bardzo wielu względami. Powoli powstaje bardzo znaczny rozdział między nimi, w końcu oboje stają się dla siebie zupełnie obojętnymi.

Margita bawi się, on zaś szuka pokrzepienia w pracy nad wychowaniem bratanka i w kojeniu dolegliwości licznych biedaków, którzy też dosłownie oblegają jego mieszkanie.

Nareszcie Margita znajduje to, czego szukała. Sportowiec, hr. Gallant, poczyna smalić do niej cholewki. Margita wnet odpłaca mu wzajemnością i dochodzi wreszcie do tego, że wyznacza mu spotkanie u siebie. Książę dowiaduje się o ich stosunku; początkowo budzi się w nim gniew, chce przeszkodzić miłostce; ale potem przechodzi do przekonania, że istotnie między nim a żoną niema łączących nici i w końcu zwalnia Margitę z obowiązków względem siebie. Księżna opuszcza dom z Gallantem.

Są tu dobre sytuacje psychologiczne i niezłe wystudjowanie typów, choć wogóle dramatowi można nie jedno zarzucić.

Traktuje on atoli bolesne zagadnienie rodzinne poważnie. Na podobnych motywach osnuta komedja Albina Valabregue'a »Coralie et Compagnie« stara się, choć niezgrabnie, brać je ze strony zabawnej. Różnica polega na tem, że środowisko jest mieszczańskie, że różnic umysłowych niema, że właściwie ów adultater jest fiksyjny! Rozmaite qui pro quo są sprężynami komedji, ale, że zarówno one, jak w ogóle liczne epizody »utworu« Valabregue'a, są dość drażliwe, wstrzymujemy się od podawania treści szczegółowej.

---

— Z literatury francuskiej. Niedawno ukazała się najnowsza powieść Anatola France'a, która nie wywołała z pewnością takiego zajęcia, jak historje z życia p. Bergerat'a, jego ulubionego rezonera. Ostatnia ta praca France'a nosi tytuł: "Pierre Noziere". Kto nie zna cichego lewego wybrzeża Sekwany w Paryżu, pomiędzy mostem Royal, a mostem Sully, kto nie wie, że tam mieszczą się z „towarem“ swoim na kamiennej balustradzie bulwarku t. zw. „bouquinistes“, antykwarjusze, u których szperacze prawdziwe znajdują skarby — do tego nie przemówi najnowsza książka Anatola France'a, a właściwie Anatola Thibaud'a, syna jednego z takich „bouquinistów“. Ten Piotr Neziere, to sam autor — mówi tylko o sobie i o bulwarku z książkami, snuje sen poranny własnego dzieciństwa, opisuje przygody niezbyt ciekawe, powszednie raczej i zwykłe, młodzieńca, przechadzki wieczorne dojrzałego mężczyzny, a zawsze śród książek. Czyta się to jak autobiografia — zwłaszcza początek. Właściwie „Piotr Noziere“, to ciche dzieje człowieka, który całe swe życie strawił na czytaniu książek w skupieniu ducha. Za najwiękzą zaletę tego utworu poczytać należy wytworny, jak zawsze, styl i rzucane tu i owdzie prawdziwie głębokie myśli.

# W lot.



═ Ś. p. Dr. Franciszek Hoszard.

Wizerunek ś. p. Dra Hoszarda, posła i członka Wydziału krajowego, który zmarł we Lwowie w tych dniach, a który należał do najzasłużeńszych ludzi w naszym kraju, szczególniej na polu autonomicznej pracy, zamieścimy w jednym z najbliższych numerów *Tygodnika Narodowego*. Ś. p. Franciszek Hoszard zmarł w 78 roku życia. Mandat poselski do sejmu krajowego, piastował lat trzydzieści, członkiem Wydziału krajowego był lat przeszło dwadzieścia. Był człowiekiem dobroczynnym i szczególniej opiekował się urzędnikami swoimi, u których też zasłużył sobie na żywą wdzięczność. Z zawodu zmarły był lekarzem i był z urzędu szefem wszystkich szpitali krajowych i miejskich. Pochodził z bocheńskiego, ale stale mieszkał we Lwowie i był właścicielem kamienicy na ulicy Kraszewskiego. Cześć pamięci zacnego człowieka!



═ Ś. p. Henryk Nagiel.

Umarł we Lwowie dziennikarz i literat: Henryk Nagiel. W mieście naszem mało znany, przebywał zaledwie lat trzy. Przybył do nas z Ameryki, gdzie przez nieco dłuższy czas poświęcał się zawodowi dziennikarskiemu, wydając i redagując najprzód tygodnik *Reformę*, a potem kierował codziennem pismem: *Dziennik Chicagoski*. Opuściwszy redakcję tego pisma, przybył do Lwowa i zaciągnął się w grono współpracowników *Słowa Polskiego*. Zapadł przed rokiem na zapalenie płuc, z czego wywiązały się suchoty i męcząc się od roku, wreszcie d. 18. grudnia wyzionął ducha przeżywszy lat 40. Ś. p. Nagiel pochodził z Warszawy, gdzie po ukończeniu tamtejszego uniwersytetu, był przez pewien czas adwokatem, a później z powodów politycznych wyemigrował do Ameryki.

Ś. p. Nagiel nie poprzestał na dziennikarstwie, pisał powieści, dramata, obszerne społeczne rozprawy i studja, oraz tłómaczył wiele z obcych języków, które sobie przyswoił dokładnie, jak angielski, niemiecki, francuski i rosyjski.

Zacny kolega, zdolny dziennikarz, utalentowany pisarz, dobry syn narodu, któremu służył wiernie i uczciwie w najcięższych dopustach swojego życia, zmarł przedwcześnie pozostawiając żonę, która go pielęgnowała ze zdumiewającem poświęceniem i prawdziwą chrześcijańską rezygnacją. Pozostała ona sama wśród nas bez krewnych, których zastąpiła drużyna dziennikarska, kochająca i szanująca zacnego kolegę — i ona też odprowadziła zwłoki na wiekuisty spoczynek...

Wśród szerszej publiczności lwowskiej ś. p. Nagiel był prawie nieznany, to też i śmierć jego przeszła niepostrzeżenie — nie mniej jednak, ubył jeden z najzdolniejszych dziennikarzy polskich, którego nie tak łatwo zastąpić przyjdzie.

Wizerunek zmarłego podamy w jednym z najbliższych numerów *Tygodnika Narodowego*.

═ Złoto i djamenty w Transwaalu.

Zajmujące szczegóły o bogactwach kopalń w Afryce południowej podaje jedno z czasopism londyńskich.

W ciągu lat ostatnich, zrobiono tam liczniejsze i większe majątki, niż w jakiejkolwiek innej obfitującej w złoto okolicy ziemi, łącznie z Alaską, a mimo to znajduje się w ziemi afrykańskiej jeszcze wystarczająca ilość bogactw, by setki spekulantów zostały milionerami. Kopalnie ciągną się na milowych przestrzeniach i dostarczają stałej pracy 60 do 70.000 ludzi. Słynne kopalnie Witwaters, uważane prawie za najbogatsze na kuli ziemskiej, znajdują się w istnym zbiorniku złota, ciągnącym się na przestrzeni 130 mil angielskich długiej i tyleż szerokiej. Przestrzeń 12. milowa zawiera złota wartości 400 milionów ft. szterlingów. Pierwszy człowiek, który próbował szczęścia w Afryce południowej, stał się w przeciągu kilku minut posiadaczem olbrzymiego majątku. P. Barney Barnato, przybywszy do Afryki, posiadał zaledwie tyle pieniędzy, że mógł zapłacić rachunek hotelowy; po upływie lat trzech, sprzedał kilka kopalni za 115.000 funtów szterlingów i został niebawem najbogatszym milionerem w Afryce południowej.

Kopalnie »De Beer'a« wypłacają rocznie 1.587.800 fst. dywidendy, a majątek ich właściciela wynosi niezliczone miliony. Cztery jego kopalnie djamentów mają 112 morgów obszaru, w przeciągu jednego roku tylko wydobyto z nich trzy miljony wozów, tak zwanej »błękitnej ziemi.» Ziemia ta, wywożona na puste pola, musi miesiącami mięknąć na deszczu, zanim dostanie się do młynów djamentowych.

Grunt z tych trzech miljonów wozów zawierał drogie kamienie wartości 3.000.000 fst.

Jakiemi bajecznemi sumami obracają krezusi Afryki południowej, można nabrać wyobrażenia z faktu, że niedawno towarzystwo, De Beer'a, wypisało czek na 5.500.000 ft. szterlingów. Pensje i zarobki, jakie różne towarzystwa wypłacają rocznie swoim urzędnikom i robotnikom, wynoszą przeszło 4 miljony ft. szterlingów. Dochód z kopalni djamentów za ostatnie lat trzydzieści oszacowany jest na 100 miljonów fst.

# Przegląd polityczny.

(*Wojna Anglji z Transwaalem*).

Telegramy pism codziennych z placu boju, zanotowały poważne klęski anglików w Afryce, które nie mówiąc o ich znaczeniu w toczącej się wojnie, mogą mieć nader doniosłe znaczenie ogólno-polityczne. Skutków tych na razie obliczyć nie podobna i tylko dalsze wypadki mogą je na jaw wydobyć. Pierwszym ich wyrazem będzie obniżenie powagi Anglji, jako mocarstwa pierwszorzędnego, które po za marynarką wojenną, nie rozporządza zupełnie siłami lądowemi odpowiedniej wartości. Że Anglja miała słabą armję lądową, o tem wiedziano, ale żeby ta armja była tak słabą, nie domyślano się wcale. Dziś Anglja wobec garści boerów uruchamia swoje siły, jak gdyby krajowi groziło najście niezliczonych hord hunnów, lub tatarów. Okazuje się też, że głęboki umysł humorystyczny amerykańskiego Marka Twaina przewidział najlepiej koleje wojny. Na zasadzie arytmetycznych wywodów z wojen ubiegłych z boerami znakomity pisarz amerykański wyciągnął konkluzję zamkniętą w proporcji, iż Anglja powinna postawić na placu boju 30 razy więcej wojska niż przeciwnik. Jest to oczywiście wywód umyślnie przesadzony, jednakże fakta stwierdzją, iż Anglja tylko z najwyższym wysiłkiem może pokonać niebezpiecznego nieprzyjaciela.

Pod względem fachowym, tocząca się wojna przedstawia podwójny interes: raz bowiem wykazuje całą niedostateczność angielskiego systemu werbowniczego, co pociągnąć może za sobą ustanowienie powszechnej służby wojskowej w Anglji, a następnie jasno świadczy o nieudolności wyższych oficerów angielskich. Śmiercionośne narzędzia, nad których udoskonaleniem pracowała myśl ludzka ku prawdziwej hańbie cywilizacji spółczesnej, znajdują tym razem zastosowanie w całej pełni. Po raz pierwszy bowiem, strony zaopatrzone zostały w wyborną broń magazynową małego kalibru i w najnowszej konstrukcji dzieła rzucające pociski, napełnione liddytem i t. d. Dla lazaretów i oddziałów Czerwonego Krzyża otwiera się tedy szerokie pole do działania i badania skutków ludzkiej pomysłowości. W obec nastroju, jaki zapanował w Anglji, skutkiem ostatnich wypadków w Afryce, zasługuje na uwagę mowa, jaką głosił ks. of. Devonshire w Yorku. W mowie tej członek gabinetu angielskiego powiedział pomiędzy innemi:

»Aczkolwiek do tej chwili niepodobna wykazać, ani jednego większego powodzenia oręża angielskiego, winszuję narodowi, że pomimo strasznych wstrząśnień, przeżywanych w obecnej chwili, zachował spokój i okazał gotowość prowadzenia walki aż do pomyślnego jej zakończenia. Nie zważając na różnice politycznych poglądów, przedstawiciele gabinetu angielskiego mówią tym samym językiem, wzywając ojczyznę do popierania rządu. Rządowi jest to wiadomem, że jeżeli wojna przedłużać się będzie aż do wyczerpania cierpliwości narodu, sposób prowadzenia jej poddany będzie surowej krytyce i że w każdym razie rząd będzie potępiony, który doprowadził do wojny. Mam wszelako nadzieję, że krytyka ograniczy się do potępienia rządu, nie zaś jenerałów i oficerów. Niema rzeczy tak niezbędnej dla wojska, jak wiara w wodza. Cześć należy się walecznym mężom, którzy dowodzą naszemi wojskami w tak trudnych i ciężkich warunkach«.

# Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

**Ile jest lokomotyw** na świecie? O olbrzymim wzroście ruchu kolejowego, możemy sobie zrobić wyobrażenie po ilości będących w użyciu lokomotyw. Jest ich na całej ziemi około 110.000. Z tego przypada na Europę 64.000, na Amerykę 40.000, Azję 3.300, Australję 200, a Afrykę 700. W Europie zaś Wielka Brytania posiada największą ilość lokomotyw: 17.000. Potem następują Niemcy z 15.000, Francja z 11.000, Włochy z 4.000, Rosja z 3.500, Belgja z 2.000, Hiszpania z 2.000, Holandja z takąż ilością i Szwajcarja z 900 lokomotywami.

**Monarchowie** żenią się zazwyczaj bardzo młodo, Król belgijski miał lat 18, gdy stanął przed ołtarzem. Zmarły Alfons XII hiszpański ożenił się po raz pierwszy w 19, zaś po raz drugi z obecną królową regentką Krystyną, w 22 roku życia. Król Humbert w 24 roku życia poślubił 19-letnią Małgorzatę. Cesarz austrjacki miał lat 23, gdy poprowadził do ołtarza 16-letnią księżniczkę bawarską, piękną, a tak nieszczęśliwą cesarzowę Elżbietę.

# Odpowiedzi od Red. i Adm.

*Stow. „Ognisko“ w Wiedniu*. Teraz wychodzi „Tygodnik Narodowy“.

*Słup*. Panie złoty — od takiej roboty włosy dębem wstają.

*Laleczka*. Zużytkujemy.

*Pani Wolapikowa*. Ani jedno, ani drugie — trzeba się gramatyki uczyć.

*C. W. New-Yorku*. Wysłaliśmy.

*Rodak w Korytybie*. Artykuł „Uszy do góry“ przedrukowała „Gazeta Polska w Brazylji“ z naszego „Tygodnika Narodowego“ — dlaczego, jednak, podawała go, jakby za swój, taki widocznie zwyczaj w Brazylji.

*Autorom wirszy*: „Ptaki czarne“, „Lwięta“, „Cyganka“ — utwory panów drukowane nie będą.

## Nadesłane.

— Od kogo pan kupił te wyborne ciasta?
— A tak, wyborne! Nieprawda?
— Przekonany jestem, że pieczone na maśle, co w teraźniejszych czasach, gdy mamy przeróżne margaryny i łoje, jest nader rzadkim wypadkiem.
— Ciastka te pochodzą z cukierni p. *Albina Szpinetera, przy ulicy Gródeckiej l. 9, naprzeciw kościoła św. Anny we Lwowie*, który inaczej w ogóle ciastek piec nie umie, jak na maśle i wybornie. (81—3—1)

---

Handel nasion i zakład ogrodniczy p. *Skiby przy ul. Nowy świat l. 52 w Czerniowcach*, bogato zaopatrzony w nasiona wszelkich roślin, tak gospodarczych, jak i ozdobnych, oraz kwiatowych, posiada ogromny wybór prześlicznych krzewów, bukietów, wieńców i t. d. Ceny są też nadzwyczajnie niskie, gatunek zaś nasion, szczepów, oraz artykułów gospodarczo-ogrodowych, prawdziwie pierwszorzędny. Wszelkie zamówienia, w zakres ogrodnictwa wchodzące, jak: bukiety ślubne, wieńce i t. d., wykonuje po najniższych cenach i z ogromnym smakiem. Jedno zamówienie wystarczy, aby się przekonać o rzetelności firmy, dla tego poleca się ją wszystkim tak pp. Ziemianom, jak i miejscowej Publiczności. (7445—3—2)

---

**Dobre toruje sobie zawsze drogę.** Tą starą prawdę widzimy urzeczywistnioną w szybkiem rozpowszechniu, które znalazł Quäker Oats przed kilkoma jeszcze laty, nieznany środek pożywienia. Quäker Oats zasługuje także na polecenie, na co zgadzają się wszyscy lekarze. Każda gospodyni, której leży na sercu właściwe i zdrowe wychowanie rodziny, a zwłaszcza swoich dzieci, nie powinna nigdy zapomnieć przy przyrządzaniu potraw, o użyciu Quäker Oats w sposób, który objaśniają wskazówki, umieszczone przy pudełkach. Skoro zostanie ten środek pożywienia raz spróbowany, to będzie stale używanym w każdej kuchni. (70-2-1)

---

Wiadomą jest rzeczą, że w ostatnich mianowicie czasach, dobroć piwa w Galicji bardzo się obniżyła. Zaledwie na palcach wymienić można firmy, prowadzące swoje przedsiębiorstwa uczciwie i nie uciekające się do środków, któreby dawały im wielkie zyski, naturalnie ze szkodą producentów. Do takich firm należą pp. *Mühlstein, Spindel & Weissmann*, właściciele browaru parowego w *Kałuszu*. Browar ten może się szczycić swoimi wyrobami, a piwo pochodzące z tej fabryki, odznacza się przewybornym smakiem, co też zjednało mu bardzo wielu odbiorców. (80—4—1)

---

Mam zaszczyt zawiadomić, że po odbytych specjalnych studjach i kilkuletniej praktyce, otworzyłem w Kołomyi w Rynku instytut dentystyczny.

W instytucie moim, wykonuję wedle najnowszej metody naukowej plombowanie i rwanie bez bólu, sztuczne zęby, naprawę złamanych szczęk i wszelkie w zakres ten wchodzące operacje.

Plombowanie uskuteczniam cementem, srebrem, gutaperchą, lub złotem.

Z uszanowniem
wszech nauk lekarskich
**Dr. Offe**
(75—2—1) dentysta w Kołomyi.

---



Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego